

Pięć szpitali klinicznych, wojewódzki i resortowy – mówiono „Miasto Siedmiu Szpitali”, choć naprawdę było ich jeszcze więcej. Wszystkie borykały się z problemami finansowymi, o których wiedziało całe miasto. We wszystkich rodziły się radości i tragedie, które znali nieliczni.

W listopadowy wtorek Bogna Andrzejewska przyjechała do szpitala resortowego jak zwykle przed godziną siódmą. Szła do głównego wejścia alejką obsadzoną po obu stronach krzakami forsycji. W nagich gałązkach zawiesił się gdzieś brązowy liść dębu, przyniesiony przez wiatr. Bogna strącała te nieproszone liście. Patrzyła, jak opadają pod krzewy albo na chodnik. Będą wymiecione przez służby porządkowe szpitala, a z krzewów nikt by ich nie ruszył.

Po wejściu do swego gabinetu Bogna położyła torebkę i laptop na szafce pod wieszakiem. Nie zdejmując płaszcza podeszła do telefonu i poprosiła, aby przysłała do niej oddziałowa z raportem z popołudniowego i nocnego dyżuru poniedziałkowego. Teraz dopiero przebrała się w fartuch lekarski. Hania Nowak przedstawiła zapiski pielęgniarские. Bogna zawsze chciała mieć podstawowe wiadomości o sytuacji w oddziale przed przyjściem do pracy lekarzy odcinkowych. Po przekazaniu informacji o chorych Hania zwykle opuszczała gabinet ordynatorski, ale dziś zatrzymała się w drzwiach i zapytała, tłumiąc podniecenie:

– Czy słyszała pani profesor, że naszą panią dyrektor odwołano ze stanowiska?

Bogna krótko zaprzeczyła, a Hania kontynuowała:

– Wczoraj wieczorem pani dyrektor Orgańska była w szpitalu. Spotkała się z kilkoma ordynatorami i poinformowała ich, że musi odejść.

Bogna ceniła Hanię za jej sumienną pracę. Czasem rozmawiały nie tylko o sprawach służbowych. Wspólne omawianie stanu zdrowia, a często także życiowych problemów niektórych chorych, niespodziewanie kończyło się wymianianiem uwag o różnych postawach ludzi względem siebie i obowiązków zawodowych. Dziś jednak Bogna nie kontynuowała rozmowy. Nie dała po sobie poznać, że wiadomość o ewentualnym odejściu dyrektor Bożeny Orgańskiej zastanowiła ją i poruszyła. Próbowwała przypomnieć sobie, czy coś wcześniej mogło wskazywać, że dyrektorka będzie odwołana, i czy inni ordynatorzy byli tak samo zaskoczeni jak ona. Jedno drobne zdarzenie przemawiało za

tym, że Adam Fila mógł się tego domyślać lub był wcześniej poinformowany.

Bogna zamierzała uzyskać zezwolenie rektora akademii medycznej na prowadzenie zajęć dydaktycznych w szpitalu resortowym, ale musiała najpierw mieć taką zgodę od dyrektora Orgańskiej. Adam był docentem w akademii i miał już zajęcia ze studentami w szpitalu resortowym, w którym przez ponad dziesięć lat pracował jako ordynator oddziału anesteziologii i intensywnej terapii. Gdy Orgańska została dyrektorem naczelnym, uczyniła Adama swoim zastępcą do spraw medycznych. Bogna objęła funkcję ordynatora oddziału nefrologii ze stacją dializ rok temu, pozostając także nadal pracownikiem akademii. Zależało jej na wypełnianiu zadań dydaktycznych. Na pytanie Bogny, czy bez trudności uzyskała pozwolenie dyrektor Orgańskiej, Adam odpowiedział twierdząco, ale dodał:

– Teraz nie prosz, poczekaj jeszcze trochę. Bożena ma naprawdę dużo problemów. Uwierz mi, Bogno, teraz nie będzie chciała się tym zajmować.

W pierwszej chwili Bogna pomyślała, że Adam jest niechętny, aby także ona prowadziła zajęcia ze studentami, ale nie chcąc obciążać dyrektorki nową sprawą, postanowiła zaczekać na dogodną chwilę, która przecież sama mogła się nadarzyć.

W szpitalu mówiono, że dyrektor Bożena i ordynator Bogna rozumieją się i wspierają, ale nigdy dotąd nie było sytuacji, która pokazałaby, jak głębokie są osobiste więzi między nimi.

– Nie zatelefonowała, żeby i ze mną się spotkać. Widocznie inni ordynatorzy są jej bliżsi – pomyślała Bogna z pewnym żalem. – Musiała podejrzewać, że ją odwołają, a nic mi nie powiedziała. Ceni mnie tylko jako fachowca.

Dyrektor Bożena Orgańska nie kierowała się jednak osobistą sympatią do ordynatorów, gdy zapraszała ich na ostatnie oficjalne spotkanie. Kilku ordynatorom kończyła się umowa o pracę. Orgańska chciała im tę umowę przedłużyć. Ordynatorzy w szpitalu resortowym nie byli dotychczas wybierani w drodze konkursu, lecz zatrudniani przez dyrektora na różnie długi czas. Tylko ostatnio zatrudnieni ordynatorzy, a wśród nich Bogna, mieli umowę na czas nieokreślony. Uczestnicząca w spotkaniu kadrowa z dużą gorliwością przygotowywała nowe umowy, pod-

kreślając troskę pani dyrektor o pracowników i życząc ordynatorom dalszej owocnej pracy.

Ordynatorzy oczekiwali w milczeniu na przybycie dyrektor Orgańskiej na ostatnią ranną odprawę, którą miała prowadzić z racji zajmowanego do wczoraj stanowiska. Pożegnalną mowę przygotował Kazimierz Barczyński, który uchodził za najbardziej elokwentnego z ordynatorów. Natura nie wyposażyła go w walory urody fizycznej: był krępej budowy, oczy miał bładoniebieskie, wyłupiaste, rudawe włosy były już mocno przerzedzone. Kazimierz był natomiast duszą spotkań towarzyskich. Czuł się zawsze swobodnie, umiał zabawiać towarzystwo, prawić komplementy. Wykorzystywał wszelkie okazje, aby składać życzenia zwierzchnikom i obdarowywać ich butelkami ekskluzywnych alkoholi, które najczęściej otrzymywał od wdzięcznych pacjentek oddziału ginekologii. W stosunku do innych ordynatorów potrafił się czasem zachować w sposób nieprzewidywalny, ale potem wylewnie przeproszał.

Kazimierz zwykle zajmował miejsce w ostatnim rzędzie krzeseł, dziś jednak zasiadł w pierwszym. Trzymając na kolanach duży bukiet czerwonych róż, przypominał sobie, jak pierwszy dyrektor szpitala, Kajetan Słomiński, zwalniany był z dyrektorskiego stanowiska. Słomiński rozgłaszał, że dostał faks z ministerstwa, zawiadamiający, że już nie jest dyrektorem.

– Tak się zwalnia dyrektorów. Od razu, znienacka, żeby nie zdążyli poczynić niekorzystnych posunięć dla jednostki, a przede wszystkim dla następców – komentowali niektórzy pracownicy i przyznawali, że jest to słuszne. Inni twierdzili, że to okrutne z punktu widzenia zwalnianego człowieka. Większość jednak była pewna, że pozbawieni pracy decydenci szybko znajdą nowe dobre stanowiska i znów będą przydatni władzy.

Dyrektor Orgańska bez żadnego komentarza poinformowała ordynatorów, że została wczoraj odwołana ze stanowiska dyrektora naczelnego szpitala i jeszcze dziś jej obowiązki przejmie nowy dyrektor, który prosi, aby wszyscy ordynatorzy zebrali się ponownie w sali konferencyjnej o godzinie jedenastej. Po tym oficjalnym komunikacie podziękowała zebranych za współpracę. Wtedy podniósł się z krzesła Kazimierz i podszedł do Bożeny z kwiatami. Wszyscy wstali. Kazi-

mierz we wzruszających słowach mówił o kawałku wspólnie przeżytego czasu, który pozostanie w pamięci jako nacechowany ludzką życzliwością i wzajemnym zrozumieniem mimo trudności, na jakie napotykały szpitale w codziennym działaniu. Orgańska jeszcze raz podziękowała wszystkim za wspólną pracę. Teraz dopiero głos jej drżał, a z oczu płynęły łzy. Wychodząc z sali konferencyjnej, Bożena musiała przejść obok wszystkich rzędów krzeseł, w których obecnie stali ordynatorzy, żegnając ją oklaskami. Ucichły dopiero wtedy, gdy Bożena znalazła się w korytarzu szpitalnym.

Orgańska miała trzyletnią umowę o pracę na stanowisku dyrektora naczelnego. Do końca umowy brakowały trzy miesiące. Nie tylko nie zdołała poprawić sytuacji ekonomicznej szpitala, ale zadłużenie wzrosło podczas jej kadencji o kolejny milion.

Szansę na poprawę wyników ekonomicznych szpitala Orgańska widziała w zwiększeniu liczby kontraktowanych świadczeń i w rozwoju usług wysokospecjalistycznych. Nie narzucała ograniczeń w przyjęciach do szpitala, choć prowadziło to do przekraczania limitów kontraktowych. „Nadwykonania” miały być argumentem w negocjacjach z kasą chorych, przemawiającym za tym, że szpital potrzebuje większych funduszy, bo chętnie wybierają go pacjenci jako miejsce swego leczenia. Niestety, część „nadwykonań” pozostała niezapłacona, a wzrost liczby kontraktowanych świadczeń był niewystarczający, aby przyjmować chorych bez ograniczeń.

Rozwój usług wysokospecjalistycznych także natrafiał na trudności. W mieście powstała prywatna stacja dializ, która szybko uzyskiwała pieniądze z kasy chorych na wykonywanie zabiegów. Jej kierownikiem została Urszula Zawiejska, pracująca w szpitalu resortowym od ponad trzydziestu lat. Była w tym szpitalu jedynym nefrologiem. Jej odejście pozbawiało szpital specjalisty, a także znacznej części wyszkolonego personelu pielęgniarskiego stacji oraz ponad połowy chorych leczonych hemodializami. Wtedy, po konsultacji z rektorem akademii medycznej i po kilku rozmowach z Bogną, Orgańska zatrudniła ją na stanowisku ordynatora nowo utworzonego oddziału nefrologii ze stacją dializ.

Ordynatorzy wychodzili w milczeniu z sali konferencyjnej. Zastanawiali się, czy postępujące zadłużanie się szpitala było jedynym powo-

dem zwolnienia dyrektorki. W innych szpitalach sytuacja ekonomiczna nie była lepsza, często nawet gorsza, a dyrektorów nie odwoływano.

Nikt, także Adam Fila, nie przyznawał się, że wie, kto będzie nowym dyrektorem. Nastroj oczekiwania udzielał się wszystkim, choć starali się go przytłumić gorliwszym niż zwykle wypełnianiem codziennych obowiązków zawodowych. Po załatwieniu najpilniejszych spraw niewiele czasu pozostało do spotkania z nowym dyrektorem. Bogna zrobiła sobie kawę i myślała o Orgańskiej. Pracowały razem tylko rok. Współpraca układała się pomyślnie. Bogna nie uczestniczyła we wczorajszym spotkaniu, co w jej przekonaniu było pominięciem, ale pamiętała, że dwukrotnie dyrektorka wyróżniła ją spośród pozostałych ordynatorów: jako jedyną zabrała ją ze sobą na spotkanie w ministerstwie zdrowia, a z dwoma innymi ordynatorami – na imieniny do dyrektora kasy chorych. Bogna nigdy nie dała Orgańskiej do zrozumienia, że ceni sobie to, iż właśnie ją wyróżniła. Nie dziękowała, choć czuła wdzięczność. Dziś zdecydowała, że nie poprzestanie na oficjalnym pożegnaniu, lecz pójdzie do dyrektora Orgańskiej, aby powiedzieć jej kilka słów od siebie.

Oddział nefrologii ze stacją dializ znajdował się na szóstym piętrze, a dyrekcja – na pierwszym. Czekając na windę, Bogna przypomniała sobie pełne gorczy słowa Uli Zawiejskiej, gdy spotkały się w kierowanej przez nią pierwszej niepublicznej stacji dializ w regionie:

– Pracowałam w szpitalu resortowym prawie trzydzieści pięć lat za marne grosze, ostatnio jako starszy asystent. Nie awansowano mnie nawet na zastępcę ordynatora, choć lekarzy, którzy w tym szpitalu mają drugi stopień specjalizacji i jeszcze podspecjalizację, jest naprawdę tylko kilku. Nikogo nie powinno dziwić, że przed emeryturą chcę gdzieś zarabiać, a może nawet uda mi się pracować w tej stacji po osiągnięciu wieku emerytalnego. Powiedziałam dyrektorce po ludzku o tym wszystkim. Stwierdziła, że mogę zrobić, jak chcę, ale gdy przyniosłam prośbę o rozwiązanie umowy o pracę, nie przyjęła mnie, tylko skierowała do kadrowej. Myślę, że po tylu latach pracy mogła przynajmniej wypić ze mną kawę.

Bogna przyznawała Uli rację. Wspomnienie to osłabiło pozytywne odczucia, z którymi kierowała się do Orgańskiej, ale nie zrezygnowała z zamiaru pożegnania się i gdy nadjechała winda, wsiadła do niej bez

wahania. Winda zjeżdżał już Walerian Chojnik, który był ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych i kardiologii. Wiedział już, kto będzie nowym dyrektorem. Na widok Bogny pomyślał:

– Postaram się, aby dyrektor utarł nosa tej profesorce.

Pożegnanie Bogny z Orgańską odbyło się prawie bez słów, choć miało być ich kilka. Uścisnęły się i pocałowały. Bogna zapamiętała, że nie czuła w tych gestach żadnej sztuczności.

Nowy dyrektor przyjechał do szpitala wraz z urzędniczką z ministerstwa. Przejął natychmiast tajne dokumenty, nie przyjął rezygnacji Adama Fila ze stanowiska zastępcy do spraw medycznych i oświadczył, że do czasu opuszczenia gabinetu przez Bożenę Orgańską będzie urzędował z zastępcą w jednym pokoju.

– Ma pani tyle czasu na wyprowadzenie się, ile pani potrzebuje – powiedział do Orgańskiej.

O jedenastej nowy dyrektor, urzędniczka z ministerstwa i Adam Fila wkroczyli do sali konferencyjnej, w której oprócz ordynatorów byli także przedstawiciele administracji szpitala oraz pielęgniarki oddziałowe. Głos zabrała urzędniczka z ministerstwa:

– Przedstawiam państwu pana doktora Zenobiusza Wertykowskiego, który będzie pełnił obowiązki dyrektora tego szpitala – przytoczyła numer i datę odpowiednich rozporządzeń.

Dyrektor okazał się człowiekiem miejscowym. Pracował po studiach lekarskich w zakładzie anatomopatologii akademii medycznej, ale nie uzyskał stopnia naukowego doktora. Z tego powodu musiał opuścić mury uczelni. Pracował potem w kilku firmach farmaceutycznych, osiągając sukcesy w promocji leków. Awansował do władz firmy, mających siedzibę w stolicy.

Niektórzy ordynatorzy znali nowego dyrektora. Jarosław Maruszewski od razu rozpoznał w nim krewnego Kajetana Słomińskiego, który piastował stanowisko dyrektora szpitala resortowego około trzydziestu lat. Po maturze Zenobiusz został zatrudniony przez wuja jako salowy w oddziale urologii, gdyż nie zdał egzaminu na studia medyczne. Miał dzięki tej pracy uzyskać dodatkowe punkty na egzaminie w następnym roku. Wtedy rozpoczęły się nieporozumienia ordynatora z dyrektorem. Zenobiusz prawie nie przychodził do pracy, a dostawał

pieniądze jak inni salowi. Jarosław był temu przeciwny. Dyrektor mówił, że umiejętności salowego prawdopodobnie nie będą Zenowi nigdy potrzebne, a teraz musi się uczyć, aby zdać lepiej egzamin w przyszłym roku.

– Gdyby miał wąsy, mógłby grać Hitlera – szepnął Maruszewski do Bogny, wskazując na dyrektora.

Wertykowski nie skończył jeszcze czterdziestu lat, ale wyglądał poważnie. Wyraz oczu kryły okulary w czarnych grubych oprawkach. Tym, co dodawało mu lat, były nie tylko przerzedzone, choć nadal ciemne włosy i nadmierna masa ciała, zaokrąglająca sylwetkę, ale także, a może przede wszystkim, surowość rysów i skąpa mimika.

– Nie... Ma znacznie delikatniejsze rysy twarzy, choć jest w nich coś ostrego...

– Żartowałem.

– Wiem. Cechy charakteru czynią ludzi podobnymi, nie wygląd.

Walerian Chojnik z trudem krył zadowolenie. Nowego dyrektora znał od kilku lat. Przed objęciem funkcji ordynatora w szpitalu resortowym Walerian był starszym asystentem w klinice kardiologii akademii medycznej. Zenobiusz jako pracownik firmy farmaceutycznej promował tam leki nasercowe, których darmowe próbki Walerian podawał chorym leczonym w klinice, a następnie przepisywał do leczenia domowego.

Jan Skrzypczak kontaktował się w przeszłości z obecnym dyrektorem w związku z pełnieniem funkcji kierownika apteki. Mówili sobie po imieniu, choć Jan był starszy o prawie dwadzieścia pięć lat. Z propozycją bruderszaftu wystąpił Wertykowski, gdy promował leki w aptece. Jan zawsze uzgadniał zakup tych leków z ówczesnym dyrektorem, wujem Zenobiusza.

Adam Fila poznał obecnego dyrektora, gdy jeszcze pracował on w zakładzie anatomopatologii i wykonywał sekcje zwłok chorych zmarłych w szpitalu, w którym wtedy Adam był zatrudniony. Zbliżyła ich wspólna dolegliwość – uczulenie na lateks, ale nie zaprzyjaźnili się nigdy.

Profesor Żabiński, gdy zobaczył dyrektora, odniósł wrażenie, że go gdzieś widział, ale nie mógł zlokalizować miejsca ani ustalić okoliczności.

Orgańska opuściła szpital, zanim skończyła się odprawa z nowym dyrektorem, choć pozostało jej jeszcze wiele pracy. Przeglądała bowiem wszystkie dokumenty, segregowała je tematycznie, niszczyła niektóre pisma, a inne przekazywała sekretarce do oddania pracownikom, których dotyczyły. Po wyjściu Orgańskiej Wertykowski wraz z urzędniczką z ministerstwa wszedł do gabinetu byłej dyrektorki. Odtąd był to jego gabinet.

Jeszcze tego samego dnia do sekretarki zgłosiła się kadrowa z prośbą o rozmowę z dyrektorem. Wertykowski przyjął ją od razu.

– Panie dyrektorze, muszę powiadomić, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, bo nie wiem, czy to, co zaszło, jest zgodne z prawem.

Opowiedziała dyrektorowi o spotkaniu Orgańskiej z ordynatorami i podpisaniu nowych umów o pracę. Dyrektor czuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Dziękuję pani – powiedział krótko i otworzył przed nią drzwi gabinetu.

Następnego dnia Orgańska znów porządkowała dokumenty w gabinecie dyrektora. Była przepełniona goryczą. Nie wykonała makijażu, uczesała się mniej starannie niż zwykle. Rozpamiętywała, co zaszło. Kilka miesięcy temu, po zmianie rządu, rada społeczna szpitala także wymieniła częściowo swój skład. Przede wszystkim zmienił się przewodniczący rady. Został nim Artur Bronin, poseł lewicy. Orgańska należała do partii centroprawicowej. Współpraca z Broninem nie układała się, choć na zebraniach rady nie dyskutowano nigdy o sprawach politycznych.

– Nieważne, do jakiej kto należy partii. Ważne, aby dla nas pracował – zwykł mawiać Bronin. Znaczenia wyrażenia „praca dla nas” nie precyzował.

Orgańska wiedziała, że o Wertykowskim mówi się „człowiek Bronina”. Nowy dyrektor przyjaźnił się także z innym członkiem rady społecznej – naczelnikiem miejscowego więzienia. Nie ulegało również wątpliwości, że ma on poparcie swego wuja, wpływowego Kajetana Słomińskiego, który regularnie spotykał się z długoletnimi pracownikami szpitala i z kilkoma zapoznał Zenobiusza. W kasie chorych, której dyrektorem był Słomiński po zwolnieniu go ze stanowiska dyrektora szpitala, pracowała żona Zenobiusza. Na polecenie Słomińskiego Alek-



sandra Wertykowska przeprowadzała kontrolę poradni szpitalnych, gdy Orgańska była dyrektorem. To wspomnienie szczególnie dziś zabolą Bożenę. Wertykowska pracowała spokojnie, powoli i systematycznie. Około godziny przed końcem pracy przyjeżdżał po nią Zenobiusz. Chodził po całym szpitalu. Rozmawiał głównie z kadrową, kierownikiem działu technicznego Markiem Poradzym i Walerianem Chojnikiem.

– Mąż tu kiedyś pracował i czekając na mnie odświeża znajomości – wyjaśniała Wertykowska.

– Każdy może przebywać w szpitalu, jeśli nie narusza regulaminu – mówiła Orgańska pracownikom, którzy zwracali jej uwagę na częste wizyty Wertykowskiego. – Oni mieszkają za miastem i jeżdżą razem do domu. Nie ma powodu im tego utrudniać.

Rozmyślania Bożeny przerwał dyrektor, wchodząc bez pukania do gabinetu.

– Umowy o pracę, podpisane przez panią z kilkoma ordynatorami, są nielegalne.

– Do północy miałam prawo wydawania decyzji.

– Niech pani nie będzie śmieszna. Jeśli ordynatorzy będą się upierać przy ważności tych umów, spotkamy się w sądzie – zagroził, a wychodząc z gabinetu, dodał: – Długo jeszcze będzie się pani wyprowadzała?

Polecił sekretarce, aby poprosiła ordynatorów, którym Orgańska przedłużyła umowę o pracę, o przyście do jego gabinetu.

– Panowie – zwrócił się dyrektor do ordynatorów – wasze ostatnio podpisane umowy o pracę są nieważne. Wkrótce zostaną ogłoszone konkursy na stanowiska ordynatorów. Do tego czasu będziecie pełnić swoje funkcje, potem tylko w przypadku wygrania konkursu. Obecnie zostaną z wami podpisane takie właśnie umowy.

Głos zabrał tylko profesor Henryk Żabiński, będący od wielu lat ordynatorem oddziału chirurgii ogólnej:

– Poradzimy się prawnika, czy taka decyzja jest poprawna. Mamy już przecież podpisane umowy, rozgrywki na szczeblu dyrektorskim nas nie interesują.

– Dyrektor Orgańska przedłużyła panom umowy już po otrzymaniu dymisji, więc nie miała prawa decydować w tej sprawie. Są świadkowie, którzy potwierdzają, że podpisywanie umów miało miejsce, gdy nie była już dyrektorem.

Ordynatorzy podpisali nowe umowy. Tylko umowa z Kazimierzem Barczyńskim była inna. On jeden zgłosił się na indywidualną rozmowę do dyrektora.

– Wiele lat życia poświęciłem temu szpitalowi. Zawsze dobrze współpracowałem z dyrekcją. Nie odwróciłem się od dyrektora Słomińskiego, gdy został odwołany ze swego stanowiska. Mam już wiek emerytalny, ale chciałbym jeszcze popracować dwa lata, bo mam ważne zobowiązania finansowe i trudno byłoby mi z nich wywiązać się z emerytury.

Zenobiusz po konsultacji z wujem Kajetanem przychylił się do prośby Kazimierza. Konkurs na stanowisko ordynatora oddziału ginekologii odbędzie się jako ostatni, a więc za dwa lata.

Wertykowski uważał, że dyrektor nie musi codziennie spotykać się z ordynatorami, jak to czyniła Orgańska. Zdecydował, że odprawy będą się odbywać w każdą środę, a raz w miesiącu mają w nich uczestniczyć jak dotychczas także przedstawiciele administracji i pielęgniarki oddziałowe. Pierwsze trzy odprawy prowadził Adam Fila, a nowy dyrektor siedział obok niego przy stole prezydialnym i nie zabierał głosu. Obserwował ludzi i ich reakcje. Wynioskował, że pracownicy szpitala na ogół nie wypowiadają się w otwartej dyskusji. Zwyczajem było indywidualne umawianie się z dyrektorem, aby uzyskać zmianę niekorzystnego zarządzenia lub odpowiedzieć na publiczny zarzut.

Pierwsza odprawa, którą prowadził naczelny dyrektor, trwała niecały kwadrans. Wertykowski zapowiedział ściśle kontrolowanie wydatków, redukcję etatów i indywidualne rozmowy z ordynatorami. Nie będzie wolno chodzić po całym sekretariacie. W jednej trzeciej odległości od drzwi zostanie zamontowana przegroda wysokości stu trzydziestu centymetrów, która oddzieli biurko sekretarki od reszty pokoju.

Przez kolejne dni Wertykowski rozmawiał z ordynatorami o potrzebie zmniejszenia wydatków na leki, środki opatrunkowe i badania diagnostyczne. Spotkania odbywały się w gabinecie dyrektora, jedynie z Kazimierzem umówił się w jego gabinecie na rozmowę przy herbacie.

Bogna przygotowywała się do pierwszej rozmowy z dyrektorem. Chciała mu powiedzieć, jak dotychczas starała się o rozwój jednostki nefrologicznej, jakie ma dalsze plany, a nawet marzenia, związane z pracą w szpitalu. Gdy nadszedł dzień rozmowy, miała już opracowany

mały program komputerowy dla chorego na nerki, który łączył opiekę ambulatoryjną, szpitalną i dializacyjną, oszczędzając czas lekarza i zapobiegając zbędnemu powtarzaniu niektórych badań. Ciekawa była, co powie dyrektor i jakie on ma pomysły i życzenia odnośnie pracy oddziału.

– Zwróciła się pani w piśmie do dyrektor Orgańskiej z prośbą o kompleksowe rozliczanie rachunków telefonicznych jednostki nefrologicznej – rozpoczął dyrektor pierwszą rozmowę, a Bogna przypomniała sobie treść tego pisma. Co dwa miesiące podobne prośby kierowała do dyrektorki i zawsze otrzymywała pozytywną decyzję. Na ostatnie pismo Orgańska już nie odpowiedziała. – Pani przyznano więcej impulsów do wykorzystania niż innym ordynatorom, a jeszcze to nie wystarczy a jeśli z innego telefonu w pani oddziale nie telefonowano tak dużo, to pani chce to niewykonanie wykorzystać dla swego telefonu. – Dyrektor mówił coraz głośniej i był coraz bardziej zirytowany. – Otóż, przyznanych impulsów nie ma obowiązku wykorzystać i żadnego łączenia impulsów nie będzie.

Temat pierwszej rozmowy, a zwłaszcza sposób, w jaki dyrektor ją rozpoczął, mocno dotknął Bognę.

Nie mogę dać się poniżyć, muszę zachować godność, żeby mieć szacunek do siebie, bo to jedno, co człowiek może posiadać, nawet gdyby już nie miał nic – myśl ta pozwoliła Bognie opanować negatywne odczucia. Spokojnie wyjaśniała mimo przepelniającej ją goryczy:

– W naszym oddziale tylko z mojego telefonu można dzwonić poza najbliższy region i łączyć się z telefonem komórkowym. Często kontaktujemy się z instytutem transplantologii w stolicy, wielu naszych chorych leczonych dializą otrzewnową zamieszkuje w innych województwach według dawnego podziału administracyjnego i możemy do nich telefonować tylko z mojego gabinetu. Oznacza to, że nie tylko ja korzystam z tego telefonu. Rozdział impulsów nastąpił rok temu w momencie powstania oddziału. Praktyka pokazała, że należy go zweryfikować. Wtedy nie będzie potrzeby przenoszenia impulsów.

– Proszę pani – prawie krzyknął dyrektor – uwzględnę pani prośbę, ale będzie to ostatni raz. Od przyszłego miesiąca zmniejszam też pani limit impulsów na telefon komórkowy i nie wolno pani korzystać z faksu w sekretariacie. Powinna pani mieć swój faks.

– Czy to znaczy, że chce pan zakupić faks dla oddziału nefrologii?

– Dostanie pani tyle impulsów, ile mają inni ordynatorzy – kontynuował dyrektor podniesionym głosem, nie zwracając uwagi na pytanie Bogny. – Nie będzie żadnych wyjątków, wszyscy równo – zakończył ostrym tonem.

– Wszyscy jednak nie są równi. Nawet na tych samych stanowiskach mają nieco odmienne zadania i obowiązki, czego przykładem jest zgłaszanie do zabiegów przeszczepiania narządów. Nasi kardiolodzy nie zgłaszają chorych do przeszczepów serca, my zgłaszamy do transplantacji nerki i trzustki. Przykładów można mnożyć więcej. Czy pan ma takie same obowiązki zawodowe jak dyrektorzy innych szpitali?

Bogna wiedziała, że odpowiedź nie może być twierdząca. Przepętniał ją gniew pomieszany z żalem. Dyrektor milczał. Bogna po chwili dodała, nadal zachowując spokój:

– Nie prowadzę prywatnych rozmów z telefonu służbowego, ale czasem telefonuję i używam faksu w związku z obowiązkami zawodowymi niezwiązanymi z pracą w tym szpitalu. Rozumiem, że jako dyrektor może pan zarządzić, co uzna pan za słuszne, ale nie ma wytłumaczenia dla tonu, jaki przyjmuje pan, zwracając się do mnie. Wszystko, co pan powiedział, można było oznajmić bez podnoszenia głosu.

– Przepraszam.

Bogna nie spodziewała się tego słowa, wypowiedzianego tak bezpośrednio i zwyczajnie po uprzednim wybuchu złości. Od razu opuścił ją tłumiony gniew, ale pozostało uczucie żalu. Nie mogła dać się poznać jako organizator pracy oddziału, ani też nie dowiedziała się, czego oczekuje dyrektor od jednostki nefrologicznej.

Za dużo sobie obiecywałam po tej wizycie. Muszę poczekać na następną rozmowę – radziła sobie, ale już nie odczuwała takiego spokoju, czy nawet radości, jak wtedy, gdy przychodziła do pracy i strząsała liście z krzewów forsycji.

Kilka miesięcy temu Bogna została konsultantem wojewódzkim w swojej dziedzinie zawodowej i starała się aktywnie i twórczo wypełniać to zadanie. Bożena Orgańska była dumna, że ma jeszcze jednego konsultanta w swoim szpitalu. Przypisywała sobie zasługę w powołaniu Bogny do pełnienia tej funkcji, gdyż wypowiadała się pozytywnie w różnych urzędach o profesjonalizmie Bogny i jej sumiennej pracy w szpitalu. Nie utrudniała jej korzystania z telefonu i faksu do wykony-

wania zadań konsultanckich i akademickich, ale także przestrzegą limitów impulsów, jednak w odniesieniu do całej jednostki nefrologicznej.

– Nie zbiednieję przez płacenie tych kilkudziesięciu złotych, a o własny faks muszę się postarać – zdecydowała Bogna.

Po objęciu przez Andrzejewską funkcji ordynatora dwie firmy farmaceutyczne obiecały jej pomoc w podniesieniu standardu nowego miejsca pracy. Postanowiła zgłosić się do tych firm dopiero wtedy, gdy będzie miała potrzebę, której nie spełni dyrekcja szpitala. Jedna z firm urządziła Bognie gabinet, zapewniając wydzielone miejsce pracy dla doktorantki. Druga firma otrzymała obecnie zadanie zakupienia sprzętu komputerowego wraz z faksem.

W szpitalu szybko rozeszła się wieść, że dyrektor „nie lubi nefrologii”, a pierwszym tego objawem jest zmniejszenie limitu impulsów telefonicznych dla pani ordynator.

Rozmowy dyrektora z niektórymi ordynatorami i pracownikami administracji zahaczały o Bognę. Ludzie jej nie znali. Po imieniu była tylko z Adamem Filą. Z pracownikami innych oddziałów kontaktowała się zwykle w przypadkach konsultacji specjalistycznych i problemów organizacyjnych. Nie zdarzało się to często.

– Dyrektor Orgańska spełniała wszystkie jej żądania – relacjonował Walerian Chojnik. – Z mojego oddziału oddała dziewięć łóżek na nefrologię, a potem jeszcze trzy, bo powstała druga sala dializ. Mój gabinet został przeniesiony piętro wyżej, choć chciałem pracować w pobliżu sali intensywnej opieki kardiologicznej. Dostała też salę do dializ otrzewnowych kosztem stomatologii oraz oddzielne gabinety dla lekarza i rejestratorki poradni nefrologicznej, to kosztem pracowni pulmonologicznej. Duże pieniądze poszły na przygotowanie drugiej sali do dializoterapii, kupiono też nową sztuczną nerkę z pieniędzy przeznaczonych na oddział ratunkowy. Wywalczyła kupno ssaka dla swoich chorych. I to wszystko otrzymała w ciągu jednego roku pracy.

– Firma wyremontowała jej pokój – mówił Marek Poradzy. – My zrobilibyśmy to samo dużo taniej, a równie dobrze.

Od pierwszego spotkania z Chojnikiem Bogna czuła jego niechęć. Było to podczas prezentowania jej oddziału nefrologii i stacji dializ przez dyrektor Orgańską i Adama Filę. Chojnik wraz z oddziałową Elżbietą Augustyniak stał nieporuszony przy pulpicie pielęgniarskim, któ-

rego połowa miała teraz należeć do oddziału nefrologii. Lekko skinął głową, gdy Orgańska przedstawiła go Bognie.

– Na pewno będziemy współpracować, gdyż chorzy na nerki mają wiele problemów kardiologicznych i najczęściej umierają z powodu choroby serca. Chciałabym móc korzystać z pana doświadczenia kardiologicznego – Chojnik nie odpowiedział.

Po skończonej prezentacji Bogna zwierzyła się Adamowi:

– Ordynator Chojnik nie jest chyba mi życzliwy. Ma pewnie żal, że stracił łóżka szpitalne, stację dializ i jednego lekarza.

– Nie powinno cię to obchodzić. Nie przejmuj się. On jest zawsze taki ponury.

Później Bogna dowiedziała się, że nikt z Chojnikiem nie rozmawiał o powstaniu oddziału nefrologii ze stacją dializ, choć bezpośrednio go to dotyczyło, bo przecież z części jego oddziału stworzono nową jednostkę. Przed podjęciem pracy przez Bognę zarządzanie stacją dializ i leczenie chorych na nerki należało do Uli Zawiejskiej, która miała w tym względzie pełną swobodę, ale oficjalnie stacja dializ podlegała Chojnikowi.

– Nie postąpiono z nim właściwie. Czy tutaj tak się traktuje ludzi? Czy dyrektor Orgańska nie będzie także informowała mnie o decyzjach, dotyczących mojego oddziału? – zastanawiała się Bogna. – Może się jednak uda nawiązać dobry kontakt z tym Chojnikiem, może on jest tylko rozgoryczony postępkami dyrekcji, a do mnie nic nie ma.

W szpitalu nie było zwyczaju oficjalnego składania życzeń imiennych i wyprawiania przyjęć z tej okazji. Gdy jednak nadeszły imienniny Waleriana, Bogna kupiła butelkę koniaku, włożyła ją do reklamówki z apteki i z dwiema lekarkami z oddziału poszła złożyć Chojnikowi życzenia.

– Prosimy przyjąć buteleczkę z lekarstwem – zakończyła Bogna parę okolicznościowych zdań. – Walerian wydawał się być zadowolony, ale gdy nadeszły imienniny Bogny, był jedynym ordynatorem, który przyszedł na kawę bez kwiatka.

Bogna nie traciła jednak nadziei na porozumienie. Oddział chorób wewnętrznych i kardiologii zajmował obecnie pół szóstego piętra i całe siódme, a oddział nefrologii – pozostałą połowę szóstego piętra. Gabinet Chojnika mieścił się na szóstym, a Bogny – na siódmym piętrze. Bogna dążyła do zamiany gabinetów, oczywiście bez umeblowania, bo Chojni-

ka było znacznie lepsze, wypracowane jeszcze przez poprzednich ordynatorów. Bogna uważała, że powinna, jak wszyscy inni ordynatorzy, mieć gabinet na piętrze, na którym zlokalizowany jest jej oddział, a przede wszystkim stacja dializ, wymagająca intensywnego nadzoru. Większa część oddziału Chojnika była na siódmym piętrze, ale sala intensywnej opieki kardiologicznej znajdowała się piętro niżej i to było oficjalnym powodem, dla którego Chojnik nie chciał zamiany gabinetów. Bogna postanowiła nie zwracać się z tą sprawą do dyrektorki, tylko sama porozumieć się z Chojnikiem. Przez siedem miesięcy negocjacje nie przynosiły skutku, ale w końcu Chojnik dał się przekonać. Bogna podziękowała, podali sobie ręce i postanowili wspólnie powiadomić dyrektorkę. Gdy zajęli miejsca w gabinecie Orgańskiej, Bogna przedstawiła problem, podkreślając dobrą wolę Chojnika.

– Zdecydowałem jednak nie godzić się na takie rozwiązanie – niespodziewanie zmienił zdanie Chojnik.

Bogna zbladła.

– Przepraszam, pani dyrektor, za zabranie czasu. Nie przypuszczałam, że człowiek, a mężczyzna przede wszystkim, może tak mało cenić swoje zobowiązanie.

– Sama powinnam zwrócić uwagę, że zamiana gabinetów jest konieczna. W sali intensywnej opieki kardiologicznej stale jest lekarz oddziałowy, podobnie jak w sali dializ, natomiast ordynatorzy mają gabinety tam, gdzie są ich oddziały. Oddział pana doktora mieści się głównie na siódmym piętrze, pani profesor – w całości na szóstym. Proszę do końca tygodnia dokonać zamiany gabinetów.

Polecenie dyrektorki zostało spełnione. To wydarzenie przekonało Bognę, że Chojnik nigdy nie będzie z nią współpracował. Nie czyniła już prób nawiązania z nim kontaktu, ale też nie szukała powodów do konfrontacji.

Po przeniesieniu się na szóste piętro Bogna poprosiła dyrektorkę o wyrażenie zgody na remont pokoju. Zapewniła, że szpital nie poniesie żadnych kosztów, bo znalazła sponsora. Orgańska chciała widzieć plan i kosztorys remontu. Bogna dostarczyła żądane dokumenty i po dwóch dniach uzyskała zgodę dyrektorki. Po miesiącu gabinet wraz z wydzieloną częścią dla doktorantki był gotowy. Firma zwróciła się do Orgańskiej z prośbą o potwierdzenie przyjęcia daru w postaci remontu

i wyposażenia pokoju. Na to tylko czekał Marek Poradzy. Zgłosił się na rozmowę do dyrektorki.

– Jako kierownik działu technicznego powinienem dokonać odbioru technicznego tego pokoju i zapoznać się z kosztorysem.

Orgańska dała dokumenty Poradzemu, a Bogna pokazała mu gabinet. Narzekał na różne szczegóły wykonania, ale zatwierdził odbiór.

– Wszystko można było wykonać znacznie taniej siłami specjalistów szpitala. Wyszłoby za połowę ceny. Firma powinna przekazać pieniądze i należało ogłosić przetarg na wykonanie pracy. Każda kontrola może tu zarzucić niezgodność z przepisami i niegospodarność.

– Nie ma pan racji. Firma daruje gotowy produkt: wyremontowany pokój. Gdyby przekazali pieniądze, zrobilibyśmy tak, jak pan mówi.

– Pani profesor Andrzejewska nie wierzy, że możemy coś dobrze wykonać – dodał Poradzy.

Bogna nie miała krytycznych uwag do wykonawstwa prac zleconych działowi technicznemu, ale widziała opieszałość, brak inicjatywy, a przede wszystkim obojętność wobec problemu, który miał angażować służby techniczne. Taki sąd wynikał z reakcji Poradzego na zgłoszenia o stałym wyciekaniu wody z kranów i niedomykających się oknach, co powodowało, że kaloryfery odkręcano w zimie maksymalnie. Wszystko to zwiększało koszty funkcjonowania szpitala. Najbardziej jednak oburzyła Bognę opieszałość w zamontowaniu umywalki w gabinecie lekarza poradni nefrologicznej. Gdy nie pomogły przekonywania, że bez umywalki pomieszczenie nie może być zarejestrowane jako poradniany gabinet lekarski, Bogna zwróciła się o pomoc do dyrektorki. Rozmowa zakończyła się wydaniem polecenia zainstalowania umywalki. Za trzy miesiące ekipa Poradzego ukończyła pracę. Bogna była zadowolona z estetyki wykonania i za to podziękowała Poradzemu, prosząc, aby przekazał podziękowania także bezpośrednim wykonawcom. Nie mogła jednak powiedzieć, że zadanie wykonano sprawnie.

Dyrektor Wertykowski poprosił do swego gabinetu Adama Filę, Bognę, Chojnika i Irenę Banaszak, która była kierowniczką działu ewidencji medycznej.

– Skonsumowała pani profesor trzy łóżka – zaczął spokojnie dyrektor, ale Bogna poczuła niesmak, słysząc takie sformułowanie. Postanowiła jednak nie przywiązywać wagi do formy wypowiedzi dyrektora.